

Paula Helle

Wypis z listu Pauli Helle do siostry Luise Albrecht

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 18, 407-412

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Paula Helle

Niemcy

Wypis z listu Pauli Helle do siostry Luise Albrecht

Poniżej zamieszczamy wspomnienia Pauli Helle oraz Käthe Schimek z ostatnich miesięcy ich pobytu w Landsbergu/Gorzowie. Jest to polska edycja wspomnień Pauli Helle pod tytułem: „Auszug aus einem Brief”, zamieszczonego w „Heimatblatt – Vietzer Anzeiger”, grudzień 1992, s. 41-43 oraz Käthe Schimek: „Aus meiner Tätigkeit als Bezirkschwester in der Besatzungszeit Landsberg/Warthe 1945“, „Heimatblatt“ 1995 nr 10, s. 48-51. Prezentują one zapis świadomości niemieckich mieszkanki miasta, typowy także dla wielu innych niemieckich świadków zdarzeń z tamtego okresu. Mam tu na myśli jednostronny obraz Rosjan i Polaków pojawiających się na drodze obu Niemek. Były one świadkami dramatycznych zdarzeń, np. napadów i zbrodni na ludności cywilnej, które niezależnie od okoliczności i narodowości sprawców zawsze są godne potępienia. Jednak czytelnik polski zauważył brak szerszego kontekstu opisywanych zdarzeń i stwierdzenia, iż II wojna światowa nie zaczęła się w styczniu 1945 roku, a jej przebieg był naznaczony wieloma zbrodniami hitlerowskich Niemiec w całej Europie. Drukujemy wspomnienia Pauli Helle w przeświadczeniu, iż będą szczególnie interesujące dla polskiego czytelnika, a to z uwagi na fakt, iż były spisane tuż po opisywanych zdarzeniach i zawierają opis szeregu interesujących faktów. Podobnie wygląda to w przypadku wspomnień Käthe Schimek. Teksty przetłumaczył Grzegorz Kowalski, przypisy pochodzą od niżej podpisanego.

Dariusz A. Rymar

Berlin, 6 grudnia 1945 roku

Tamtego pamiętnego 29 stycznia ojciec wrócił przecież z urlopu, a ja obowiązkowo pełniłam służbę. W nocy z 29 na 30 stycznia ktoś nas obudził o 1.25 i mówi, że Landsberg jest ewakuowany. Spakowaliśmy najważniejsze rzeczy, które przecież i tak już były spakowane, na sanki, i ruszyliśmy, rano, o wpół do siódmej. Była to trudna droga, wzdłuż szosy na Myślubórz, chłopskie wozy, ciężarówka wojsko itp., a my przebijaliśmy się przez zasy na poboczu. Kiedy w południe dotarliśmy do Bayersdorfu (Baczyna), byliśmy u kresu sił, znaleźliśmy jakieś puste gospodarstwo, gospodarze uciekli. W nocy [z 30 na 31 stycznia] gościliśmy jeszcze niemieckich żołnierzy, rano [31 stycznia] o godzinie 9.00 pojawili się już Rosjanie. Zaczęła się niekończąca się tragedia. Rosjanie strzelali, płądrowali, szaleli, straszili nas, a wracający w wielkich grupach Polacy byli jeszcze gorsi. Kiedy przyszedł rozkaz ewakuacji,

ojciec wrócił na służbę. W Bayersdorfie zostaliśmy do 4 lutego, przerażona grupka, płoszeni dzień i noc, płądrowani, bez snu ani chwili spokoju na jedzenie.

Potem poszliśmy z powrotem do domu, tam znaleźliśmy ojca, który na szczęście nie poszedł już do akcji i pilnował naszego domu i domu Pankinów z rynku, który spłonął, siostrę i brata pani Pankin i dziewczęta. Potem dotarli jeszcze siostra Gertrud Martens, której dom został doszczętnie spłądrowany, i jej brat, którego willa na Zechower StraÙe (Warszawska) została spalona. Od tej chwili tworzyliśmy coÙ w rodzaju wspólnoty losów, która pozwalała nam to wszystko przetrwać. Nie mieliÙmy ani chwili spokoju, trwało płądrowanie, groźby, strzelaniny. Sama nie wiem, jak udało nam się to wszystko przetrwać.

7 lutego wszyscy mężczyźni zostali zabrani, bałyÙmy się, że to na zawsze. Także nasz kochany tata musiał iÙć i nie wierzymy, żeby przetrwał te wszystkie trudy. Ostatnio spotyka się coraz więcej powracających z niewoli cywilów, którzy opowiadają, że 30% i więcej zostało w Rosji i na Syberii i że nie żyją.

Codziennie w mieÙcie był po¿ar, przypadkowo podpalane domy, 5-6 dziennie, tak że po 7-8 tygodniach, kiedy ten proceder ustał, miasto, przede wszystkim centrum, niemal nie różniło się od miast zbombardowanych albo takich, o które toczyły się walki. Cała Richtstraße (Sikorskiego), Luisenstarasse (Łu¿ycka), SchloÙstraße (Obotrycka), Zechower StraÙe (Warszawska), Friedeberger StraÙe (Walczaka), Bergstraße (Drzymały), Neustadt (Dzieci Wrzesiñskich – Jagiełły), SchieÙgraben (Strzelecka), Küstriner StraÙe (Kostrzyñska), Bahnhofstraße (Dworcowa), Pestalozzistraße (Estkowskiego) leżały w gruzach. Na palcach można było policzyć budynki, które się ostały. Brückenvorstadt (Zawarcie) w du¿ej mierze zostało oszczędnione. Zniszczone zostały tylko Raatzsche Apotheke¹ i sklep rzeźniczy obok niej, zbombardowane przez Niemców. Niemcy wysadzili most jeszcze 30 stycznia, jednak Rosjanie szybko zbudowali drewniany, który niemieccy lotnicy chcieli zbombardować. Potem jeszcze często bombardowano rosyjskie zaopatrzenie, ale bardzo, bardzo nędznie.

I tak wielu landsberczyków zostało na miejscu, trzymali się razem, blisko, musieli pracować. Ja trafiłam do rosyjskiej kuchni, gdzie powodziło nam się nieźle i du¿o jedzenia mogłam wziąć do domu.

14 lutego wieczorem nasza ciocia Lisa została zastrzelona przez jakiegoÙ piniacza, który wszystko przeszukiwał i strzelał



*Apteka przy Wałe Okrę¿nym nr 3
(ze zbiorów Roberta Piotrowskiego)*

1 Raatzsche Apotheke albo Kronen-Apotheke przy ul. Wał Okrę¿ny 3 – część zabudowy placu przed mostem (drewnianym) po stronie Zawarcia z pomnikiem Pauckscha. Została ona zniszczona wlaÙnie w 1945 prawdopodobnie w niemieckim bombardowaniu (informacje od p. Roberta Piotrowskiego).

wokół siebie jak szaleniec. Chyba wszystkich nas spotkałby ten los, gdyby panna Märtens, która mieszkała u pani Steinborn, nie sprowadziła pomocy. Pochowaliśmy ciocię Lisę w naszym ogrodzie, pełnym kamieni, a w tym czasie Rosjanie grali na fortepianie i plądrowali. Tak mijały dni i noce, na dokwaterowaniach, plądrowaniu itp. Sąsiedni dom pani Pohl (?) spłonął.

26 marca kazali nam się wyprowadzić z domu. Nie wiedzieliśmy, dokąd mamy iść. Najpierw poszliśmy do panny Märtens, tam od razu nas obrabowali tak, że musieliśmy się wyprowadzić dalej. Przez cztery tygodnie mieszkaliśmy kątem na 2 piętrze Löwenapotheke², organizując sobie niezbędne produkty z pustych domów i piwnic. Było tam trochę spokojniej niż w naszym domu, ale i tu plądrowanie nie ustawało. Cały czas baliśmy się nowych dokwaterowań. Poszłam pracować do rosyjskiej szwalni, ale nie dawałam rady szyć po dwie koszule dziennie i zostałam zwolniona. Całymi tygodniami zamiatałam ulice, nosiłam węgiel na dworcu, żeby tylko dostać coś do jedzenia. Pod koniec marca zostaliśmy wygnani z domu i szukaliśmy nowego miejsca, aż w końcu trafiliśmy na parter do dr. Friedländera. Dr Friedländer odważnie ponownie otworzył swoją praktykę, nawiązał kontakt z Rosjanami. Szpital został wykwaterowany i przeniesiony do domów na rogu, na przeciwko Bismarckstr. (Łokietka) 16/17. Jak można sobie wyobrazić, wszystko bardzo prymitywnie. Dr Heinemann był jedynym lekarzem, Bartoleit popełnił samobójstwo razem z rodziną.



Apteka pod Lwem, ul. Krzywoustego 4a (ze zbiorów Roberta Piotrowskiego)

W ogóle liczba samobójstw była ogromna. I na początku nikt ich nie grzebał, tak samo jak wielu zastrzelonych, zakłutych, uduszonych. Pastor Wegner bardzo się tu zasłużył, zebrał wozy i przyjaciół, wiele ciał przenieśli bez trumien do masowych

2 „Apteka pod Lwem” mieściła się przy ul. Krzywoustego 4a.

grobów. W marcu zaczął odprawiać niewielkie nabożeństwa w pozbawionym okien i organów kościele mariackim. Ludzie z coraz większą śmiałością pojawiali się na ulicach i na Wniebowstąpieniu i Zielone Świątki kościół był pełny i świąteczny.

Wkrótce znalazłam też panią doktor Wagner i pastora Wagnera, nie zajęchali daleko swoim samochodem, znaleźli schronienia u Ewy Koch i doktor praktykowała w nadzwyczaj prymitywnych warunkach. Często spędzaliśmy razem czas. Teraz są tutaj, w Berlinie Reinickendorf-Ost, Baselerstr. 18, Lutherhaus. Pastor Wagner dostał tu pracę w tutejszej parafii.

Ale wracajmy do nas. Pomieszkivaliśmy teraz, w większości śpiąc na zorganizowanych materacach, na ziemi, u doktora Friedländera, na parterze. Żaluzje dzień i noc trzymaliśmy zasłonięte.

Z wiosny, która przysła mimo wszystkich nieszczęść, nic nie zauważyliśmy. Kilka razy zakradliśmy się do naszego domu od tyłu. Cały dom był zajęty przez Rosjan i umocniony. Wywieźli wszystkie nasze meble, nawet piec wyrzucili przez okna. Zawartość szaf, książki, wszystko to, co nie zostało jeszcze splądrowane, niszczało w piwnicy i na podwórzu. Był to okropny widok. Mama nigdy więcej się tam nie pojawiła. Mnie wciąż tam ciągnęło, tydzień w tydzień, mimo że dom krwawił.

1 kwietnia przyjechali Polacy³, to znaczy polska administracja cywilna, a wraz z nią nowe cierpienia, które jednak już mnie nie dosięgły. Polski Lekarz Powiatowy⁴ poprosił dra Friedländera, żeby polecił mu kogoś, kto miałby pojęcie o sytuacji o organizacji ochrony zdrowia, a ponieważ mieszkalam tam od kilku dni, zaproponował mnie. Wtedy zbudowałam właściwie od zera niewielki urząd ochrony zdrowia, bo ten Polak był praktykującym lekarzem, ale o stronie administracyjnej nie miał pojęcia, powiedział mi to otwarcie i pozwolił mi działać według uznania⁵. I kiedy zorientował się, że sobie radzę, był szalenie zadowolony. Było to piękne, samodzielne, zaufane zajęcie. Rejestrowałam epidemie, zatrudniałam siostry we wszystkich okręgach (miasto było podzielone na 16 okręgów), nawiązałam kontakt ze wszyst-



*Apteka pod Lwami, ul. Krzywoustego 4a
– stan 2011 (fot. D. A. Ryamar)*

3 Faktycznie polska administracja rozpoczęła pracę 28 marca 1945.

4 Był nim dr Zygmunt Obuchowicz – domniemany Robert Salling (zob. w części „Materiały do gorzowskiego słownika biograficznego” w tym tomie NRHA).

5 Jak wynika z akt Starostwa Powiatowego Gorzowskiego Paula Helle była zatrudniona w Referacie Zdrowia Starostwa jako laborantka od 2 kwietnia 1945 i pracowała tam jeszcze w sierpniu (Archiwum Państwowe w Gorzowie, Starostwo Powiatowe Gorzowskie, sygn. 559, s. 42, wykaz pracowników Referatu Zdrowia, 16 VIII 1945).

kimi pozostałymi lekarzami, domami starców, punktami narodzin, ambulatoriami, które powstały z konieczności. Dzięki temu mogłam pomóc wielu Niemcom. Coraz częściej zgłaszały się wioski, i oto, czego dowiedziałam się z naszego cudownego powiatu. Bardzo źle powodziło się rolnikom, którym zabrano wszystkie narzędzia i zwierzęta. Najbardziej wstrząsnęła mną śmierć siostry. Poszła do Strebłowów, żeby nie być sama, a na ich podwórzu Rosjanie znaleźli broń zostawioną przez uciekających niemieckich żołnierzy, zastrzelili wszystkich, młodych i starych i siostrę też.

Tak minęła wiosna, Polacy powiedzieli nam, że ci Niemcy, którzy będą lojalnie współpracować, mogą zostać. Ponieważ nie wiedzieliśmy, dokąd iść, zdecydowaliśmy się zostać i odejść dopiero na końcu. Jednak życie było coraz cięższe, każdy musiał ciężko pracować w coraz trudniejszych warunkach. Nikt nam nie płacił. Dostawaliśmy kartki żywnościowe, ale za nie można było nic otrzymać. Byliśmy całkowicie pozbawieni praw, zdani na żądę zemsty tych ludzi. Oczywiście było mnóstwo rozsądnych ludzi, którzy wiedzieli, że nie obejdą się bez Niemców, częściowo jako specjalistów, a częściowo do najbrudniejszej roboty. Ale oni, im dłużej to trwało, tym mniej mieli do powiedzenia.

26 czerwca przysła przerażająca wielka ewakuacja Wschodu. Około 30.000 osób zostało w ciągu godziny i mniej wypędzonych na ulicę, gdzie straciła resztę majątku. Nigdy nie zapomnę tego marszu śmierci przez Odrę. Nie sposób opisać bólu, cierpienia, strachu, nie sposób doliczyć się ofiar. Nikt nie zwracał uwagi na chorych, starych, chromych. Tylko interwencji rosyjskiego lekarza garnizonowego możemy zawdzięczać, że szpital, kilka siostr, ale także ja, moja mama i ciotka mogłyśmy zostać. Zostały także dwa okręgi na Zawarciu, ich mieszkańcy mieli wykonywać najbrudniejsze prace.

Na początku odczuwaliśmy wdzięczność, że nie musimy iść. Ale ta niewielka grupa trzech, może czterech tysięcy Niemców, którzy zostali, stanowili opuszczoną, pozbawioną praw, przerażoną garstkę. Nie było nic do jedzenia, chociaż sklepy spożywcze, a właściwie raczej kramiki, wyrastały jak grzyby po deszczu i oferowały, co dusza zapagnie, jednak za absurdalne ceny. Żyliśmy tylko z tego, co jeszcze mieliśmy na sprzedaż – ubrania, pościel, meble. Nie wolno nam było mówić po niemiecku na ulicach, w sklepach, biurach, towarzyszył nam terror, jaki znaliśmy tylko z książek, mała resztką niemieckiej rodziny żyjąca w strachu przed Polakami w dużym domu na rogu, Polakami którzy natychmiast przejęli w posiadanie znajdujące się tam mieszkania, można powiedzieć, że wpełzli do ciepłych jeszcze łóżek. Wielokrotnie wypędzano nas z naszej kwatery, by potem wpuścić nas z powrotem.

W sierpniu przeprowadziliśmy się – z marną resztką naszego dobytku – do domu polskiego Lekarza Powiatowego, który kazał sobie bardzo pięknie przygotować willę doktora Bocka. Mama i ciocia zajmowały się domem, był on bowiem kawalerem. Walczyłam o biuro, które tymczasem stało się całkiem polskie, a ja zamieniłam się w polską sekretarkę. Gorliwie, lecz z trudem, nauczyłam się podstaw języka. Lekarz nas chronił, pomagał nam, żywił nas, był prawdziwym narzędziem w rękach Boga.

Tymczasem większość Niemców wyprowadziła się dobrowolnie, ponieważ to życie po prostu nie było już życiem. Nie mieliśmy żadnych praw, nawet najbardziej podstawowych. W końcu resztką Niemców była napadana, grabiona, maltretowana, tak że nawet my, choć pod ochroną, postanowiliśmy wyjechać.

Lekarz Powiatowy, jako intelektualista i do tego szczególnie przyjazny wobec Niemców, wciąż miał straszne problemy ze strony polskiej bezpieki, nie mógł chronić nas już dłużej. Pod koniec października spakowaliśmy to, co najważniejsze – doktor podjął negocjacje z Rosjanami, którzy za wódkę, zegarki itp. stale wozili Niemców ciężarówkami do Berlina – kiedy nagle 31 października wpadło do nas dziesięciu ludzi z bezpieki i wyrzucili nas w ciągu 15 minut. Tego samego dnia wypędzeni zostali starzy Ogoleitowie i Scharfowie. Jednak Polka zadzwoniła szybko do naszego polskiego lekarza, który powiedział, że potrzebuje mnie jeszcze jakiś czas w swoim magazynie leków. Zebraliśmy wcześniej z magazynów i piwnic wszystkich spalonych lub zniszczonych aptek spore zasoby wartościowych lekarstw – o milionowej wartości. Magazyn ten został po tym, jak go jeszcze raz zinwentaryzowałam, rozdzielony między szpitale, apteki itp., a częściowo pojechał do Poznania. Ponieważ nie było już specjalistów, musiałam to zrobić sama. W ogóle przez cały czas robiłam za dziewczynę do wszystkiego. Kiedy nie było w pobliżu Polaków, często grałam na znakomitym domowym fortepianie, czasami nawet z doktorem, który był bardzo muzykalny i grał na skrzypcach i wiolonczeli. Te chwile muzyki były jak perły w tym okropnym otaczającym nas świecie. No cóż, aż pewnego dnia przyjechał samochód obładowany ziemniakami, które Rosjanie wieźli do Berlina; zabrali nas i bezpiecznie tam zawieźli, choć inni Niemcy tracili przy takiej okazji resztkę swojego dobytku.